№ 4. Czwartek, dnia 27 Stycznia. Rok 1876.



WARSZAWA
dnia 15 (27) Stycznia
1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

POLNA RÓŻYCZKA.

W lesistej cieni
Rozkwita, wolna
Pośród zieleni,
Różyczka polna.
Wietrzyk ją poi
I karmi rosa,
A słońce stroi,
Pieszczą niebiosa.
Zwierciadło rzeczki
Patrzy w wiośniane
Świeże listeczki,
W szkarłat odziane.

Kiedy majowy
Zabłyśnie dzionek,
Nad kwiat różowy
Wzlata skowronek,
I ptacy leśni
Z ponad ruczaju,
Witają w pieśni
Królowę gaju.
A gdy zapada
Słonko w dolinie,
To słowik siada
W leśnej gęstwinie,
Do róży wzdycha,
Miłośnie śpiewa.....
I wiatr ucicha,
Słuchają drzewa.

O szczęsna różo
W cichej ustroni!
Ciebie przed burzą
Gaj cały chroni;
Skwar cię nie spali,
Wicher nie złamie,
Bo cię ocali
Anioła ramię.
Pod drzewek cieniem
Rośnij, rozkwitaj,
Jasnem spojrzeniem
Niebiosa witaj.
Rośnij, o kwiecie!
Aż cię kochanek
Dla lubej wplecie
W weselny wianek.
Wtedy na nowo
Błyśniesz, swawolna
Kwiatów królowo,
Różyczko polna!

W. Łada.

Z WYCHOWANIA.

I.

Pierwsze pojęcia.

Słyszałem niegdyś pewną młodą matkę, która rzekła:

— Czuję że najważniejszym celem mej pracy około mego dziecięcia—jest nauczyć je myśleć.

Prawda — ani słowa, ale zanim się nauczy dziecię myśleć, trzeba je nauczyć—*pojmować.*

Jakimże-to sposobem? zapytacie. Alboż można uczyć pojmować, alboż jest siła taka w ręku ludzkich, któraby nakazywała dziecięciu zwracać pochwytną wyobraźnię w dowolnie przez nią wskazanym kierunku?... Wszak-ci to samo działanie wyobraźni, tego fundamentu pojmowania, pochwytywania idei czy obrazu, tak jest niezależne, tak swobodne, ruchliwe, niestałe, zmienne, tak wreszcie nieprzewidziane — że chcieć mu narzucić pewną stałość, systematyczność, prawidłowość, byłoby czystem zuchwalstwem—usiłowaniem bez skutku.

Nie tak znowu bardzo, jak się zdaje. Jestem najmocniej przekonany że właśnie i w pojmowaniu rzeczy da się zaprowadzić owa systematyczność, która powinna stać się następnie podwaliną porządnego myślenia. Jak to zrobić można, jakiemi ścieżkami przyjść do tego—oto właśnie przedmiot mojego zastanowienia.

Pojmowanie, jestto, jak wyżej powiedziano, pochwytywanie przez wyobraźnią i utrwalanie przez pamięć idei, czy obrazu. Ideę w tym razie usuwam, jestem bowiem pewny, że żaden rozsądny wychowawca, gdy ma pracować nad władzą pojmowania u dzieci, nie zapragnie by-

najmniej umysłowi ich narzucać idei—lecz tylko—obrazy. Obraz—toż to nic innego, jeno przedmiotowa zewnętrzność rzeczy—to, co jest istotnie tylko dostępnem dla dziecięcia, bo jest dostępnem dla jego zmysłów. Obraz—to rzecz, to przedmiot, to cielesne wyobrażenie ukrytej wewnątrz idei, którą sama natura dla tego utaiła, aby wskazać, jaką drogą ma się kształcić umysł dziecięcia. Wiecie zapewne co to jest indukcya, wiecie, że jest ona najrozumniejszym i jedynym sposobem badania przedmiotów... Otóż natura, najlepsza wychowawczyni, przez utajenie myśli w zmysłowych kształtach stworzenia, sama wskazuje, że w badaniu przedmiotów ten dopiero może się kusić o poznanie istoty rzeczy, kto zbadał jej zewnętrzność.

Powiedzcież mi więc, czy niepodobna zaprowadzić pewnego ładu w podsuwaniu przedmiotów i faktów umysłowi dziecięcia, tak aby władza pojmowania kształciła się w niem według tego ładu?... Nie jest bynajmniej niemożliwem dla wychowawcy ukazywać dziecięciu przedmiot z tej strony, jaką sam wybierze. Może go ukazywać ze wszystkich stron—może to wreszcie czynić tak, aby strony te ukazywać stopniowo, aby rzecz uwidoczniała się od najprostszych, do najzawikłańszych kształtów. Gdyby przedmiot był np. różnokolorowy—ukazanoby go najprzód dziecięciu ze strony białej, następnie ze strony niebieskiej, później ze strony czarnej, dalej z tej strony, w której połączono dwa kolory razem, a wreszcie i z tej, którą pomalowano na biało, niebiesko i czarno. Przedmiot o różnych kształtach pokazywanoby począwszy od krańców prostych, od płaszczyzn równych—do kształtów łamanych i płaszczyzn złożonych. Niepodobna żądać od dziecięcia, aby wyobraziło sobie wóz zaprzągnięty we dwa konie, skoro nie widziało ani wozu, ani konia... napróżno mówić mu o wojsku, jeżeli nie widziało żołnierza.

Dzieci lubiące ogromnie rysować, ujmują ołówek dlatego, aby poniekąd wskazać, jaką drogą zdobywają sobie pojęcia. Pięcioletni malec rysuje coś nakształt domu, daje mu jedno okno, obok niego stawia jedno drzewo, dalej nibyto jednego człowieka, jednego konia i t. p. Jego drzewo ma jeden pień i jedną gałęź, nakształt korony; człowiek jedną nogę, jedno oko. Czy sądzicie że ta jednostka, powtarzająca się tu wszędzie, jest wynikiem nieumiejętności rysowania?... bynajmniej. Wypływ to nieumiejętności kombinowania pojęć najprostszych, bo ogarniających tylko pojedyncze kształty. Czyliż to najprostsze i najlogiczniejsze zjawisko nie dowodzi, że nawet sama natura, w pracy nad zdobywaniem i kształceniem pojęć dziecięcia, postępuje systematycznie?... Czyliż nie widzicie, w rozwinięciu tego pewnika, że człowiek rozumny, w obowiązkach wychowania, nietylko za tą wzkazówką iść powinien, ale nadto pracą swoją tu dopomagać?...

Wychowawca, jeśli nie działa na ślepo, jeśli jest pedagogiem a nie partaczem, wie aż nadto dobrze, że niepodobna jest dziecku tłómaczyć własności linii prostopadłej, jeżeli dziecię to nie widziało w naturze nic, na czemby mu się to prawo dało objaśnić. Rozprawiać o szybkości lotu ptaka przed uczniem, który nigdy lecącego ptaka nie widział, jestto prawić mu rzeczy dla niego niepojęte. Nie można w umyśle dziecka rozwijać pojęć, które w nim nie istnieją, a tembardziej niepodobna tłómaczyć mu istoty rzeczy których nie zna. Aby jednak dziecię zdobyło sobie owe brakujące pojęcia, musi pierwej posiąść wyobrażenia, które są ich gruntem, musi widzieć, słyszeć, dotykać się, musi, jednem słowem, wyobrażać sobie to, czego pojęcie w umyśle jego ma znaleźć następnie wyjaśnienia i określenia w nauce.

Zasłaniać dziecięciu przedmioty przed jego oczyma, jestto przytępiać wzrok jego duszy. Trzymać je w zamknięciu między czterema ścianami, aby nie oglądało świata i tysięcy przedmiotów, które się na nim znajdują—jestto trzymać je w ciemnym grobie, z którego może nie zmartwychpowstać nigdy. Natomiast ukazywanie przedmiotów najrozmaitszych w pewnym systematycznym ładzie, od najprostszych do najbardziej złożonych, jest prowadzeniem umysłu dziecka rozumną drogą wychowania, jest gromadzeniem mu wyobrażeń i pojęć, bez których umysł ten obejść się nie może, jeżeli ma następnie rozumieć, myśleć, działać.

Tak zwana *metoda poglądowa* kształcenia dziecięcego umysłu jest właśnie oparta na powyższych zasadach. Metoda Froebla, jako zastosowanie w praktyce, jest jej wynikiem, jest urzeczywistnieniem teoryi najracyonalniejszej, bo opartej na wskazówkach z natury poczerpniętych. Jak dalece owa metoda poglądowa da się rozwinąć, mamy dowód na *Systematycznym kursie* Jeskego, w którym ten zawcześnie zmarły pedagog zaczyna rzecz swą od nagromadzenia przedmiotów z otaczającego świata, a prowadzi ją przez elementarne wykłady np. arytmetyki, geografii i gramatyki.

Nie chodzi nam jednak o elementarne wykłady pojedynczych gałęzi wiedzy, ani o zastosowanie do nich metody poglądowej; idzie nam tylko o wykazanie, że dziecię, jako cząstka otaczającego wszechświata, w nim powinno znaleźć najpierwszą, najdostępniejszą i najpotrzebniejszą zarazem książkę. Na tej książce uczy się ono czytać, pojmować, myśleć... ale nie powinno zdobyczy tych odnosić bez pomocy i kierunku wychowawczego.

Każdy przedmiot, jaki się znajdzie pod ręką, może służyć wybornie do nauki, do kształcenia nierozwiniętego umysłu, bo 1o) jest przedmiotem, więc karmią dla wyobraźni; 2o) jest cząstką wszech rzeczy i pozostaje do nich w pewnym stosunku, a wreszcie 3o) jest urzeczywistnieniem jakiegoś celu, potrzeby, myśli... Te trzy nieodłączne właściwości każdej rzeczy dają bardzo rozległe pole do czynienia umysłowych zdobyczy ze strony dziecka. Najprostszy kawałek drewna podsunięty dziecięcemu umysłowi, przy odpowiedniem skierowaniu jego uwagi i myśli, kształcić go może. Ten kawałek drewna w przyszłości stanie się punktem wyjścia dla rozpoznawania przedmiotów innych, coraz nowych zastosowań, potrzeb, celów i myśli. Jeżeli rozumny wychowawca nie zapomina, że wskazywanie stosunku między rzeczami jest jego obowiązkiem, to zacząwszy od owego drewna, z łatwością będzie mógł zahaczać o tysiące przedmiotów, wyjaśniać ich znaczenie, ich cel, sposób ich powstawania. Jeżeli jednak sądzi, że jego pouczające gawędy bez wskazywania przedmiotów istniejących osiągną jaki skutek, to się grubo myli. Przekonaliśmy się niejednokrotnie, że dzieci nie zwracają wcale uwagi na słowa, które nie są objaśnieniem dla wskazywanych im przedmiotów. Na teorye bez zastosowań szkoda czasu—a właściwie nawet unikać tu należy teoryj przy objaśnianiu rzeczy, bo są one poprostu ziarnem rzuconem na skałę, a częstokroć ziarnem chwastu, który, jeśli trafi na urodzajną glebę dziecięcego umysłu, wyplenia ją i głuszy.

Dzieci lubią ogromnie rozpatrywać się w otaczającym je świecie. Martwe przedmioty, zwierzęta, niebo, rzeka, drzewa, rośliny..... wszystko to zajmuje je narówni; wszystkiemu przyglądają się z jednaką pożądliwością. Nie czynią one tego bez celu, a może o tem zaświadczyć każda matka. Na jeden przedmiot widziany mają one tysiąc zapytań...... Ta instynktowa ciekawość jest dobrodziejstwem natury, najcenniejszym skarbem człowieka. Gdyby nie ona, rozwój umysłowy dziecięcia byłby niemożebnym. Należy też wiedzieć że rozwój ten jest w epoce dziecięctwa w człowieku najszybszy, i najzdolniejszy człowiek, obdarzony kolosalną pamięcią, przez rok cały nie zdoła się nauczyć tyle, ile dziecię trzyletnie

uczy się w przeciągu jednego miesiąca. W tak krótkim czasie poznaje ono całe setki obcych sobie dotąd przedmiotów, zdobywa tysiące wyobrażeń, pojęć, prawdziwych lub fałszywych, uczy się z niezrównaną szybkością języka i jego używania, a jeśli nad tem wszystkiem czuwa baczna i troskliwa ręka umiejętnego kierownika, zdobycze te mogą być jeszcze liczniejsze, a nadewszystko pożyteczniejsze i prawdziwsze.

Tak—potrzeba koniecznie aby dziecię, w zdobywaniu wyobrażeń i pojęć, nie było prowadzone drogą fałszywą. Potrzeba, aby zobaczywszy przedmiot, widziało go najprzód w rozmiarach i kształtach naturalnych; aby widziało go w *całości*—aby wreszcie poznało jego prawdziwą nazwę i prawdziwe zastosowanie. Potrzeba też koniecznie, aby rzecz z otaczającego świata, przy nieodpowiedniem objaśnieniu, nie przedstawiła się dziecięcemu umysłowi jako zjawisko nadprzyrodzone, w jakiejś mistycznej mgle i grozie. Szkodliwe tego rodzaju wskazówki zgubnie bardzo oddziaływają na młodociane główki istotek, które są skłonne zarówno do wierzenia prawdzie jak fałszowi, i na raz danych sobie podstawach gruntują całą przyszłą wiarę swą. Potrzeba także, aby niewinny z pozoru żarcik nazywania rzeczy nie po imieniu (pod przenośnią), nie czynił umysłu dziecięcego skłonnym do zawczesnej *spekulacyi umysłowej*, która jest śmiertelną chorobą dla główek, nieumiejących jeszcze pojmować stosunków realnych. Potrzeba nakoniec, aby dziecię, na wszystkie zapytania swe o własności danego przedmiotu, otrzymało odpowiedzi nietylko prawdziwe, rozumne, jasne,—ale... wystarczające. Jedno zapytanie bez odpowiedzi —a myśl niedojrzała i płocha pracować poczyna w gorącej główce, a praca ta kończy się zazwyczaj zgubną zdobyczą fałszu i omyłki. Troskliwy wychowawca ma wszelką możność nieukazywania przedmiotów takich, których objaśnić nie potrafi—ale też obowiązkiem jego jest postarać się o odpowiednie objaśnienie, aby dla własnej nieznajomości rzeczy nie kryć światła pod korcem.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli widać, że praca wychowawcza względem dzieci, które wyszły tylko co z okresu niemowlęctwa, wcale nie jest łatwą. Tak zaiste. Ciężki to trud, pełen często niepokojących niespodzianek, szczególniej dla młodych matek, które mu się nigdy nie oddawały. Czyż jednak uniknąć go mogą?.... Zapewne, jeśli mają odwagę chować swe dziatki na istoty o umysłach spaczonych, o najfałszywszych pojęciach, o głowie jak pusta stodoła a piersi..... bez ducha. Jeżeli codzienne doświadczenie życia pozwala nam się tak często stykać z najrozmaitszemi dziwadłami w postaci ludzkiej, jeśli widujemy zdolnych głupców lub bezpożytecznych a nawet szkodliwych mędrków, fantastyków, wreszcie umysłowych idyotów, ręczyć można że wychowanie tych ludzi w okresie ich dziecięctwa było zaniedbane, fałszywe, lub na los przypadku zdane. Społeczeństwo przecież *ludzkie*, ucywilizowane, mające jakiś cel istnienia nie zaś wegetowania czy agonii—musi się starać, aby miało jak najmniej głupców, półmędrków, fantastyków i idyotów. Mówimy *jak najmniej*, bo aby ich nie miało wcale, potrzeba pierwej aby wszyscy wśród niego spełniali swoje obowiązki: aby więc i wszystkie matki chowały dzieci swe tak, jak się je chować godzi. Wszystkie..... to się sprzeciwia ułomnej naturze ludzkiej. Wszakci to ta nieszczęsna ułomność chce, aby Moloch niedbalstwa, głupoty, uporu i t. p. miał także strawę z istot, na obraz i podobieństwo Boże stworzonych. Niechże ich pożera *jak najmniej*.

St. M. Rzętkowski.

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Lubo karnawał w Warszawie nie był tak wesoły jak przed laty, pani Teofila otworzyła dom gościnny, i przy pomocy pani Senatorowej, znanej w salonach pod imieniem *pięknej Heleny*, zgromadzała liczne grono dobranego towarzystwa raz na tydzień, w dnie czwartkowe. Pan Bonifacy w każdym dniu takim chodził osowiały, bo zmuszony grać rolę gospodarza, nie tylko się utrudził nad siły, ale nadto nie mógł odjąć się tej myśli, że wieczorek taki jeden kosztował go więcej niż kilka miesięcy utrzymanie całego dworu w Olszewnicy. Jakoż żona po trzech takich wieczorkach przyszła mu powiedzieć, że cała rata dzierżawna z Wólki Słomianej już się wyczerpała, i potrzeba pieniędzy na dalsze wydatki. Kiedy zaś ujrzała oblicze męża spochmurniałe, gdy zacisnął usta i zaczął wąsy pokręcać, co było oznaką wysokiego rozdrażnienia, pani Teofila łagodnem słówkiem i pieszczotą rozbroić potrafiła poczciwego Bonusia.

— Wszak to dla dobra dzieci, mówiła rzewnym głosem, nie dla nas, mój drogi!

Karnawał zbliżał się do połowy, gdy pani senatorowa, w południe przyjechawszy, długą naradę miała z panią Bonifacową, której przypadkiem podsłuchała Jadwiga. Wieczorem miała wprowadzić młodzieńca, który pod każdym względem miał być odpowiednim dla Jadwisi konkurentem. Człowiek bogaty, mający dobra na Podolu i w Galicyi w pobliżu granicy węgierskiej, z pięknej familii, bywały w świecie i wysoko wykształcony. Właśnie powrócił z zagranicy, był w Paryżu i Londynie, w Rzymie miał audyencyę u Papieża, bawił we Florencyi, gdzie się poznał z Lenartowiczem, bawił w Wiedniu, a teraz, po tej jak mówił włóczędze światowej, pragnie odpocząć, i w gnieździe przodków swoich rozpocząć spokojne, rodzinne życie.

Takie polecenie, nie tylko że zachwyciło panią Teofilę i Jadwigę, ale dobrze usposobiło dla spodziewanego gościa i samego pana Bonifacego. Żona go prawie na wpół ze łzami błagała, ażeby wystąpić *honeste*, że to może los i przyszłość stanowić dla biednej Jadwisi. Przekonany temi słowy poczciwiec, obstalował dwa torty u *Loursa*, i kupił dobry zapas droższego wina, niezapomniawszy o *tokaju* z piwnicy *Fukiera*.

Od ósmej godziny wieczorem, jaśniał rzęsistem światłem apartament państwa Bonifacych, domowa służba powiększoną została o dwóch lokajów w białych rękawiczkach. O dziewiątej zaczęli się goście zaproszeni zjeżdżać. Ewunia wyręczała matkę, która wraz z jej siostrą, w gorączkowem usposobieniu, oczekiwały zapowiedzianego zjawiska. Rozniesiono herbatę i ciasta, czterech grajków oczekiwało tylko skinienia. Ale dziesiąta uderzyła na wielkim zegarze, a senatorowej nie było widać z upragnionym gościem. Pani Teofila wciąż nasłuchiwała czy kto nie zajechał i zwracała spojrzenie na drzwi salonu. Niepokój jej był widoczny. Pan Bonifacy odpoczywając w swoim pokoiku, gdy ujrzał Ewunię, z boleścią zawołał:

— Ah! co to za życie w tej Warszawie!

— Nie zachmurzaj kochany ojczulku tak czoła, trzeba być wesołym, bawić gości! I po tych słowach ucałowała go serdecznie, a pan Bonifacy do razu orzeźwiał i z uśmiechem powstał, bo usłyszał że weszli nowi goście. Była to godzina wpół do jedenastej.

Niedługo na progach salonu ukazała się senatorowa balowo wystrojona, a za nią pan Edmund Tarnowski.

Był to mężczyzna w całem znaczeniu tego wyrazu dorodny. Jasny blondyn, miał oczy wydatne, niebieskie, pełne życia i ognia, włos bujny zaczesany zgrabnie, wąsy i po angielsku zapuszczone faworyty. Dobrego wzrostu, kształtnej postaci, w każdym ruchu zgrabny i ujmujący, kiedy wszedł za senatorową, która go przedstawiła gospodarstwu, spuścił oczy skromnie, panią domu przepraszał za śmiałość odwiedzin, a panu Bonifacemu oświadczył, że jako ziemianin także, jako młodszy towarzysz z pod chorągwi jednego zawodu, spodziewa się znaleźć u niego względy, a w razie potrzeby doświadczoną radę, naukę i pomoc, jako u rolnika znanego w całym kraju.

oczekiwanego pretendenta do ręki ukochanej Jadwisi; ojciec skrobał się po głowie, że go ten wieczór do 600 rs. kosztował; Jadwiga zajęła się bardzo Edmundem, a Ewunia, przebiegając myślą wypadki i wrażenia tego wieczora, smutno popatrzyła na Jadwigę i z cicha szepnęła do siebie:

— Biedna!

Rudzicki weselszy wracał do domu niż opuszczał gościnny dworek w Wólce Słomianej. Po załatwieniu kupna Łomnicy, wybrał się w odwiedziny do kapitana i jego matki. Zaledwie ukazał się na ganku, gdy kulejąc jak zawsze, wybiegł gospodarz i uściskał miłego gościa.

— A toś mi z nieba spadł kochany Adasiu,—zawołał rozweselony,—my tu z matuchną jak dwaj kartuzi siedzimy sami, wszyscy nas opuścili, nawet poczciwy Bazyli.

Ze szczerą radością powitała go także i pułkownikowa, kapitan kazał dołożyć kłodę smolną na kominek, wypił w ręce Adama domowej miętówki, — poprosił panny Kunegundy o przyspieszenie obiadu, a usiadłszy przy młodym gościu, przemówił:

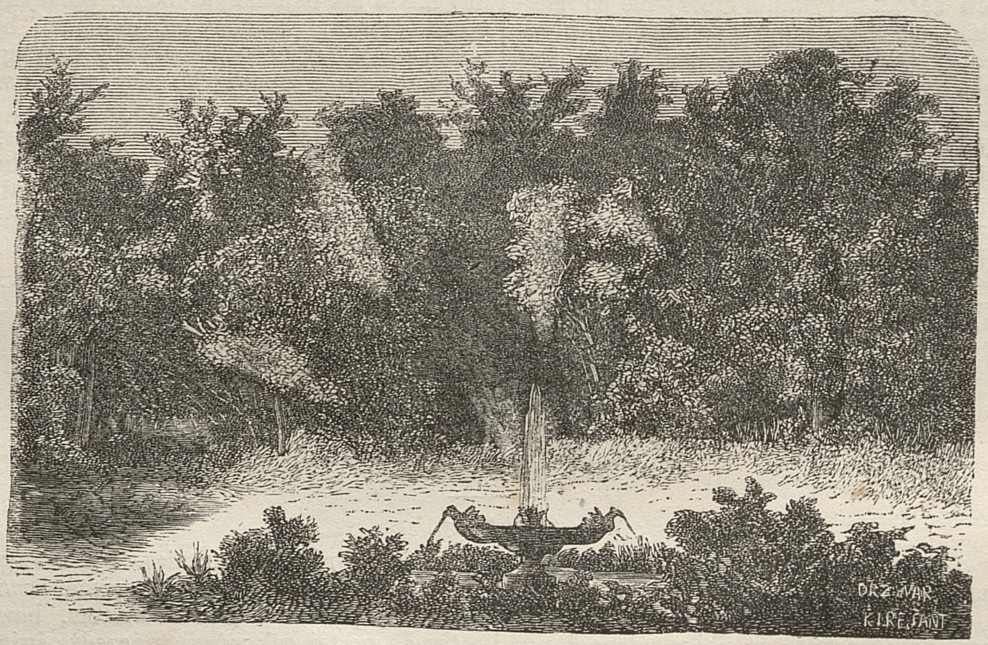


Fig. 8. Ogród Króla René'go zwany Baumette.

Jeżeli pani Teofila była oczarowaną tak miłym i uprzejmym gościem, pan Bonifacy był w zachwyceniu, że znalazł przecież człowieka, z którym będzie mógł gawędzić o ulubionem gospodarstwie.

A Jadwiga?

Ta, przygotowana wcześnie przez matkę, że to jedyny odpowiedni *konkurent* do jej ręki, całym okiem i duszą przylgnęła do niego. Pierwszy raz w życiu poczuła silne uderzenia serca, żywy rumieniec oblał jej białe lica. Oczekiwała jego zbliżenia, a gdy pani domu wskazała ją najprzód jako starszą córkę i Edmund złożywszy jej zgrabny ukłon, ułożony na prędce gładki duser powiedział, biednej dziewczynie zawróciło się w głowie, nie była w stanie słowa odpowiedzieć. Ewunia poratowała starszą siostrę, a wiodąc z nim swobodną rozmowę, wywołała podziwienie ojca i matki, że tak się wybornie znaleść umiała.

Rozpoczęto tańce, które przerwano sutą o północy kolacyą. Bawiono się ochoczo do świtu. Dzień ten wywarł silne wrażenie na całą rodzinę państwa Bonifacych. Matka była uszczęśliwiona że znalazła od tak dawna

— No! panie nowy dziedzicu Łomnicy, złóż nam raport wierny ze swej podróży.

Adam opowiedział szczegółowo cały swój pobyt, ale gdy wspomniał jak pan Przecki po odczytaniu listu pułkownikowej ucałował go z uszanowaniem, jakby patynę w kościele, kapitan wzruszony zawołał:

— *Sapristi!* na spodzie duszy miałem piołun dla Bonifacego, ale tem mnie skaptował, kocham go jak dawniej, i gotów jestem po staremu przycisnąć do serca.

— Panie kapitanie! — wyrzekła uroczystym głosem pułkownikowa — w tych słowach widzę żeś mój syn prawy i do ojca podobny. Chodź Pawełku! — dodała ze słodyczą — niechaj cię uścisnę za to i pobłogosławię.

Nasz wiarus na pierwsze wyrazy matki zerwał się przerażony z krzesła, bo bardzo rzadko przemawiała do niego *panie kapitanie.* Ale gdy głos jej złagodniał, pospieszył do niej, przykląkł i położył głowę na jej kolanach, a ona złożyła na niej krzyżyk i macierzyński pocałunek.

Adam z rozrzewnieniem spoglądał na tę scenę, która go do głębi wzruszyła.

Wkrótce zaproszono do stołu. Po zupie pierwsza pułkownikowa kazała sobie nalać w kieliszek miodu, co było osobliwością, a wznosząc go wyrzekła:

— Piję za zdrowie i pomyślność Bonifacych, za zdrowie Adasia i spełnienie jego życzeń, i za twoje, mój kochany Pawle!

Kapitan nigdy nie był w tak wesołem usposobieniu, całował ręce matki, nawet po dwa kroć pił zdrowie panny Kunegundy.

— Szkoda, że niema pomiędzy nami poczciwego Bazylego—przemówiła pułkownikowa.

— Nie widziałem go nigdy w takim niepokoju jak onegdaj, gdym go w Zakrzewiu odwiedził, rzekł Adaś. Pakował sam rzeczy z pośpiechem, a ciągle krzyczał aby zaprzęgano co rychlej. Razem rozjechaliśmy się, ja tutaj a on do Warszawy.

Kapitan zaczął się śmiać serdecznie.

— Mój Adasiu! mówił, nie dziw się temu, bo nasz Bazyli dostał bzika.

— Jakto bzika? zapytał gość z zadziwieniem i przerażony postawił kieliszek na stole.

— Nie lękaj się o niego — odrzekł śmiejąc się jeszcze stary żołnierz—wyleczy się z niego. Ma bzika miłosnego, zakochał się, ot i kwita, i lata do swej bogdanki.

— Dobrze zrobi jeśli się ożeni; odezwała się pułkownikowa, i pewna jestem, że dobry wybór uczyni.

VII.

W tej właśnie porze, kiedy wesoło gwarzono w dworku Wólki Słomianej, c z w ó r k ą dzielnych kasztanów pędził pan Bazyli, pospieszając do Warszawy. Gnał go jakiś niepokój, który wybijał się na jego szlachetnem obliczu.

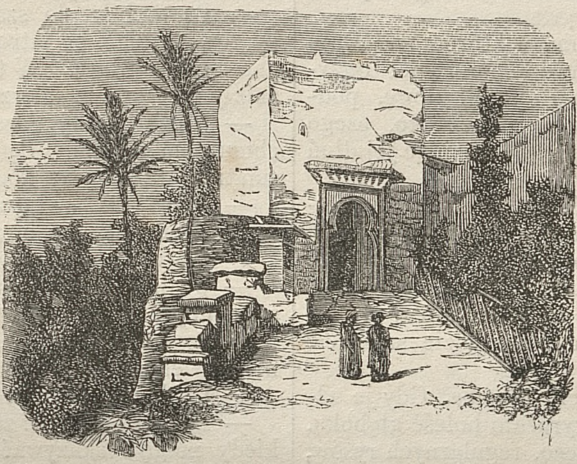


Fig. 9. Alhambra—brama Sądowa.

Zaledwie przybył do miasta i stanął w hotelu, przebrawszy się na prędce zawołał sanki i kazał się wieść za rogatki Wolskie. Część ta Warszawy ma jeszcze małe i nizkie dworki, przypominające zupełnie wiejskie siedziby; na bocznej ulicy od bitego gościńca, stał taki dworek bez piętra, murowany, w którym od frontu zajmował skromne mieszkanie pan Jan Seklucyan emeryt, były profesor literatury starożytnej w szkołach publicznych. Wdowiec od lat już dziesięciu, miał córkę jedynaczkę liczącą rok dziewiętnasty, która zajmowała się całem gospodarstwem, i sędziwego ojca troskliwą otaczała opieką. Pierwszy pokój wchodząc z sieni, obszerny i widny, o trzech oknach, stanowił salon i bibliotekę profesora. Drugi mniejszy sypialnię, jadalnię i pracownię. Tu, obok pieca miał starzec mały z okapem kominek, przy którym zimą zajmował się zwykle jakąś pracą naukową. Właśnie teraz wykończał rozprawę o wpływie literatury greckiej i rzymskiej na polską, którą pragnął drukiem ogłosić. Mała pensya emerytalna rsr. 600 rocznie, zaledwie wystarczała na bardzo skromne tych dwojga ludzi utrzymanie, staranność jednak młodej gosposi, zapewniała zacnemu uczonemu spokój i wygodę. To też uważał on ją za swego Anioła Stróża, na którą to nazwę wykształcona, oczytana, łagodna, pełna dobroci i poświęcenia Klarunia, zasługiwała w całem tego słowa znaczeniu.

Nie była to piękność uderzająca, co na pierwszy rzut oka porywa i zachwyca, ale wpatrzywszy się dłużej nieco w jej oblicze pociągłe, regularnych rysów, w jej oczy niebieskie pełne blasku, które wiernie odzwierciadlały każde wzruszenie, każde silniejsze serca uderzenie, musiałeś wyznać, że równie czarującą istotę nie łatwo znaleźć na Bożym świecie.

Bazyli poznał ją przypadkiem w jesieni zeszłego roku, w domu swego szkolnego towarzysza, a ucznia jej ojca, sam też był także uczniem Seklucyana. To mu otworzyło gościnne progi sędziwego profesora.

Dziedzic Zakrzewia od pierwszego spotkania z Klarą poczuł że mu serce silniej uderzyło, do czego niemało przyczyniło się niesłychane jej podobieństwo z jego narzeczoną, którą przed kilkoma laty utracił. Z początku walczył z sobą, zaraz nazajutrz wyjechał, ale we dworze swoim już spokoju znaleźć nie mógł. Kilka razy odwiedzał starego profesora, a za każdą bytnością czuł, że jedynaczkę jego coraz więcej kocha.

Kiedy po raz czwarty zajechał przed dworek i wszedł do pierwszego pokoju, zastał właśnie starca przerzucającego księgi w wielkiej szafie, a córkę z fartuszkiem u pasa, zajętą zastawą stołu w drugim pokoju do obiadu. Profesor poznawszy gościa, wykrzyknął radośnie:

— A witajże nam, witaj! właśnieśmy o tobie kochany panie z moją Klarcią mówili. Słyszałem wiele o was dobrego, a na moje stare lata wielką to pociechą, gdy widzę że uczniowie moi wyszli na poczciwych ludzi i zacnych obywateli.

Na te słowa wybiegła Klara z żywym rumieńcem i podała rękę na powitanie. Bazyli do głębi wzruszony tak serdecznem powitaniem, ujął tę kształtną i drobną dłoń i poczuł jej drżenie. Z niewymownem uczuciem poniósł ją do ust i gorący wycisnął na niej pocałunek. Klara żywszym jeszcze oblała się rumieńcem, spuściła piękne oczy i chwilkę stała w milczeniu, ale wkrótce oprzytomniawszy rzekła do ojca:

— Tateczku kochany, u nas właśnie obiadowa godzina, możeby pan Sirawski nie pogardził naszym skromnym obiadem.

— Prosimy! prosimy serdecznie a w razie odmowy naszą powagą profesorską rozkazujemy kochanemu uczniowi.

— Chętnie się takim rozkazom poddaję, odrzekł wesoło Bazyli, bo nużbym musiał iść klęczeć po dawnemu.

Uścisnął go starzec, i rozpoczęli pogawędkę o dawniejszych szkolnych czasach, gdy tymczasem młoda gosposia zwijała się, ażeby corychlej zastawić obiad, bo już wybijała na wiszącym zegarze kukułka pierwszą z południa.

Uszczęśliwiony gość zasiadł do stołu i nigdy mu w życiu potrawy lepiej nie smakowały. Znalazła się i buteleczka dobrego wina, z której wypił rozochocony starzec zdrowie ucznia obecnego, a potem i swego «Anioła Stróża». Przy tych słowach spojrzał załzawionemi oczyma na swą jedynaczkę i rzekł drżącym głosem:

— Kochany panie! może nie wiesz że tem imieniem nazywam moją Klarcię, bo ona, to moja jedyna opieka w starości....

— Tateczku mój złoty, nie przechwalajże mnie tak bardzo, bo cóż o nas gość pomyśli...

— Pomyśli, odrzekł dźwięcznym choć wzruszonym głosem Bazyli, że tam gdzie szczerość z czystą prostotą panuje, prawda się nigdy nie ukrywa. Więc i ja, jako wdzięczny uczeń, wznoszę zdrowie czcigodnego mego profesora i jego Anioła Stróża!

— Dziękuję! Bóg zapłać! przemówił starzec, ściskając ręce gościa. A teraz po czarnej kawie wypalimy po fajeczce, ja się swoim zwyczajem przedrzemię przy moim kominku, wy sobie pogawędźcie, a jak się znudzicie, oto lekarstwo na nudy i troski,—i wskazał na szafę z książkami.

Buchnął szeroki płomień na kominku, pan Seklucyan po wypaleniu fajki zasiadł w dużym swoim fotelu i począł drzemać.

— Długoż pan pozostaje w Warszawie? zapytała po chwili Klara. Pewnie dłużej niż zwykle, bo to karnawał. Słyszałam że się bawią wesoło. Tu do nas nawet echo tego gwaru nie doleci.

— A cóż mnie droga pani karnawał obchodzi? Od lat siedmiu, to jest od chwili gdym stracił moją narzeczoną, już nie tańczę ani szukam rozrywek. Żyję pracą, w wolnych chwilach czytam, uczę się iść z postępem czasu i dumam w samotności, która nieraz jest pełną goryczy.

Klara zwróciła nań spojrzenie, w którem malowało się zdziwienie ale zarazem i życzliwe współczucie. Bazyli, który mówiąc te słowa smutnie opuścił głowę, podniósł ją nagle, a wyczytawszy z jej oblicza to, czego słowem nie wymówiła, wyciągnął rękę i ujmując jej dłoń drobną, rzekł rozrzewniony:

— Dziękuję pani za tę dobroć, za tę litość nad biednym samotnikiem. Nie masz dla mnie już rozrywek, zacząłem piąty krzyżyk, a w przyszłości widzę tylko szron wieku, co pobieli tę skłopotaną głowę. Wszystko wymarło com ukochał, co drogie było dla serca; dostatek zdobyłem sobie twardą pracą, ale gdzie szczęście znajdę, gdzie je zdobędę?

I mówiąc te słowa zakrył oczy rękoma. Gdy je odsłonił, oblicze jego szlachetne wyrażało boleść głęboką. Twarz jego pociągła, ogorzała nieco, regularnych rysów, była piękną, a dodawały jej wdzięku oczy ciemne, jaśniejące życiem. Wzrost wyniosły, krzepka budowa zwiastowały niepoślednią siłę męzką.

— Dla czegóż rozpaczać,—przemówiła po chwili Klara pełnym słodyczy głosem, nie trzeba tracić nadziei, Bóg dobry czuwa nad biednemi i opuszczonemi.

— Kto ma jeszcze młodość przed sobą, dla niego może się uśmiechnąć przyszłość. Ale ja! ja! wyjęknął. Pragnąłbym serca coby mnie zrozumiało, coby umiało podzielić troski i niepokoje, ale gdzie mnie myśleć już o tem!...

— Trzeba szukać,—odrzekła Klara zamyślona,—może Bóg da panu tę pociechę. Powtarzam, nie trać pan nadziei; wszakże, dodała weselej, i piosnka nasza mówi, że *bez nadziei trudnoby żyć.*

Bazyli był gotów do odpowiedzi, gdy ojciec się odezwał:

— A chodźcież tu do mnie! pogawędzimy razem, to i stary przy was orzeźwieje!

Zmrok już był dobry, gdy Bazyli powrócił do mieszkania, dziwnie rozmarzony. Sam, jakkolwiek człowiek doświadczony, nie wiedział co ma z sobą począć, nadzieja i niepewność miotały nim naprzemiany.

Chwilę chodził niespokojnie po pokoju, wreszcie rzekł na pół głośno:

— Poczekajmy jeszcze trochę... trzeba oprzytomnieć i na chłodno się zastanowić...

Na trzeci dzień pospieszył do profesora ażeby go pożegnać. Czas był pogodny, słońce zajaśniało. Gdy wszedł do dworku i roztworzył drzwi, ujrzał Klarę, czytającą Enejdę Wirgiliusza w polskim przekładzie. Starzec siedział obok niej i oryginał łaciński trzymał w ręku. Na widok Bazylego zerwała się Klara z żywym rumieńcem, a profesor wyciągnął doń przyjaźnie rękę.

— Ot! kochany panie! czytamy razem, ona mi czyta tłómaczenie, a ja porównywam sobie.

— Przybyłem do szanownego pana profesora, ażeby go pożegnać, bo jutro wyjeżdżam,—przemówił Bazyli, patrząc na Klarę. W tej chwili z oblicza jej rumieńce znikły i odwróciła spiesznie głowę.

— A cóż was wypędza z miasta? zapytał starzec z pochmurnem czołem. Będzie nam smutno teraz i bardzo smutno. Jakoś przy kochanym panu i nam było weselej.

— Jeżeli tak, — odrzekł Bazyli z rozjaśnioną twarzą i pełnem życia spojrzeniem — to niedługo powrócę...

Klara w tej chwili odwróciła spiesznie głowę.

— O! dziękujemy panu za tę obietnicę,—rzekła z weselszym już na twarzy wyrazem,—to będzie pociechą dla tateczka i dla mnie w naszej samotności, tylko prosimy nie odwlekać na długo.

— Czekam rozkazów mego kochanego profesora!

— Dobrze! dobrze! zawołał rozweselony starzec. No! kiedy mogę rozkazywać, to Waść stawisz się nam przed *ostatnim wtorkiem*, zakończymy razem karnawał i rozpoczniemy post wielki.

— Oto ręka że nie chybię — odrzekł uszczęśliwiony Bazyli, i podał rękę Seklucyanowi, a następnie zwracając się do jego córki z drżeniem w głosie zapytał:

— A pani nie odrzuci mojej ręki?

— O nie!—odrzekła wesoło,—przyjmuję ją na zakład dotrzymania słowa.

Nazajutrz Bazyli opuścił Warszawę.

(C. d. n.)

SZKICE

Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

SERYA II.

II. Ogrody w wiekach średnich.

Ogrody europejskie.

Historya państwa wschodniego nie jest jedynie ponurą tkaniną wypadków wojennych i dysput religijnych, ale snuje się obok tego w przedpokojach i korytarzach pałaców o które wycierali się patrycyusze, i w tajemniczych ogrodach gdzie ginęli imperatorowie w dniu, w którym spisek wybuchał nad ich głową. Tu przyodziewano insygnia cesarskie, tam tarzano się w prochu, owdzie całowano stopy mocarzów — a dalej cezarowie dosiadali konia w czasie uroczystości, otoczeni niezbędnym orszakiem ostyerów, spatherów, senatorów, prefektów, i całego tłumu szyszaków z pióropuszami. Potrzeba było prócz tego owym władcom kolumn, kopuł, tarasów piętrzących

się nad sobą, nagromadzonych na skinienie woli Justynianów i Leonów, Porfirogenitów i Kopronymów.

Konstantyn pierwszy zbudował naprost murów kościoła św. Zofii, i w ich przedłużeniu apartamenta Dafnisa, Magnora, oraz trybuny panujące nad hipodromem. Justynian i Justyn II upiększyli te budowle z iście wschodnim zbytkiem. Około Christotriclinium ogrodzonego murem, stanęła obszerna sala tronowa, której kopuła spoczywała na ośmiu sklepieniach—dalej skarbiec koronny i bawialne pawilony zabrukowane kosztownemi marmurami i mozajkami, wykładane kamieniami, zajmowały środek rozległych ogrodów, których obszar wyrównywał razem wziętej przestrzeni Luwru i Tuileriów. W dziesiątym wieku liczono siedm perystylów, ośm podwórców wysadzanych drzewami, cztery wielkie kościoły, siedmnaście sal jadalnych, pięć sal tronowych, dziesięć galeryj i dziewięć pałaców. Konstantyn VII Porfirogenita, biegły artysta, lecz władca gnuśny, pozostawił nam opis swego pomieszkania, który ułatwił p. Julianowi Labarte, odtworzenie go z przedziwnem podobieństwem tak w szczegółach jak i w całości. Z okazałych tych gmachów nie pozostało nawet śladu. Według powszechnej opinii, starożytny pałac zbudowanym był w miejscu, w którem mieści się dziś ogród seraju, prawdopodobniej jednak mur pałacowy zajmował w nim małą tylko przestrzeń, a obniżając się nierównie dalej ku południowi, graniczył od wschodu z morzem. W jaki sposób urządzone były ogrody? Niewątpliwie tak samo jak je widzieliśmy w wiejskiej siedzibie Adryana, jak je znajdujemy obecnie w rezydencyach satrapów perskich i padyszachów tureckich. Mieściły się w nich cysterny (1) otoczone niezliczonemi kolumnami, sadzawki, wodotryski, szerokie aleje i kwatery kwiatowe. Nie wchodząc jakim był ich plan, to pewna że nie zbywało im na pięknie i wspaniałości, przyroda bowiem okazywała się niezmiernie szczodrobliwą. Dość tu było starać się o to tylko, aby sztuka nie zasłaniała przepysznej perspektywy Bosforu i wybrzeży azyatyckich.

W średnich wiekach, zachód nic nie wytworzył nowego w architekturze ogrodów. W Konstantynopolu, równie jak w Rzymie i Paryżu, przechowywano w tej mierze tradycye sztuki greko-romańskiej, mniej lub więcej się zacierające. Karol Wielki sam zajmuje się urządzeniem swych królewskich ogrodów i w ciekawym kapitularzu wymienia rośliny jakie mają być w nich uprawiane! Ogród Ludwika świętego, chociaż dość skromny, obejmował połowę miasta. Ogrody Karola V w dzielnicy św. Pawła, nietylko były zasadzane drzewami owocowemi, ale nadto zdobne kwiatami tworzącemi bądź zagony brzeżne około kwater, bądź lamówkę lub kwadraty. Krzewiły się tam wszelkie warzywa. Ulubionemi roślinami w owym czasie były: rozmaryn, szałwia, majeranek, lawenda, lewkonie i róże. W ogrodach stawiano altany w postaci chłodników lub pawilonów, których okratowanie w kształcie kwadratów skośnych osłaniały kwiaty lilii — narożniki ich kwadratowe lub okrągłe zakończano dzwonkiem górującym nad kulą pozłacaną, lub chorągiewką z godłami wojennemi Francyi. Altany tego rodzaju musiały być zapewnie olbrzymie, gdyż obejmowały ławki z murawy, krzesła, łączkę lub trawnik. Wpośród ogrodu mieściło się źródło a prawdopodobnie wodotrysk. Prócz tego zbudowaną tu była wielka ptaszarnia w której mieściły się między innemi rzadkiemi okazami synogarlice i papugi, do których Karol V miał osobliwsze upodobanie. Ztąd też w pałacu św. Pawła, cesarz posiadał przepyszną klatkę ośmioboczną, zamieszkiwaną przez papugę, a w ogrodzie ulubioną swą sadzawkę.

Wogóle ogrodom średniowiecznym od szóstego do piętnastego stulecia, brak perspektywy i okazałości. Były to po prostu mniej lub więcej rozległe czworoboki, podzielone na kwadraty drzew i kwiatów dość pospolitych, zaokrąglonych niekiedy w półkole.

Boccacio daje nam obraz ogrodu włoskiego z czternastego wieku, należącego jak się zdaje do willi Rimmini. Była to rozległa przestrzeń, obwiedziona murem, łącząca się z pałacem. Przez środek tego ogrodu i na około rozprowadzone były aleje wązkie, wykładane szpalerem, i rozchodzące się promienisto od punktu głównego. Niezliczone kwiaty rozlewały tak balsamiczne wonie, jakby tu nagromadzono wszystkie pachnidła wschodu. Krzewy róży białej i czerwonej tworzyły z obu stron alei jakby mur nieprzenikliwy, niedostępny promieniom słonecznym, i darzyły używających tu przechadzki dobroczynnym cieniem i rozkosznym zapachem. W pośrodku koła zieleniejących pomarańcz i cytryn, rozpościerał się trawnik roślin tak gęstych, że wydawał się jakby czarnym, a zabarwiały go tysiące najrozmaitszych kwiatów. Wodotrysk z marmuru białego, zajmował tu środek i wyrzucał wielki słup wody z kolumny, niby płomień z olbrzymiej świecy — słup tak potężny i wysoko bijący, że mógłby mur poruszać. Woda spadała z łagodnym szumem w zbiornik, rozlewała się podziemnemi kanałami, i przechodząc przez tysiączne ich rozgałęzienia, występowała na powierzchnią ziemi, skrapiając dokoła trawniki. Ztąd inne kanały roznosiły ją dalej, schodząc się ostatecznie u wyjścia z ogrodu, z którego to miejsca woda zawsze czysta, w silnym prądzie zbiegała ku płaszczyznie, posługując do obracania młynów.

Przechadzających się po ogrodzie dolatywał zewsządzie śpiew ptaków, których liczono przeszło dwadzieścia gatunków; melodyjne ich głosy dopełniały powabu tej miejscowości, lecz zarazem odwracały wzrok od innych jej ponęt. W rzeczy samej ogród obejmował może sto gatunków przepysznych zwierząt, spotykających się tu z sobą. Z jednej strony mieściły się króliki, z drugiej zające — tu spoczywały sarny, tam przechadzały się daniele — wreszcie zwierzęta łagodnych obyczajów razem pomieszczone igrały z sobą jak nasze udomowione.

Anglia, która w trzysta czy czterysta lat później dokonała najzupełniejszej reformy w zakładaniu parków, znała w wiekach średnich jedynie ogrody francuzkie i włoskie. Całą ich ozdobą były linie proste wytknięte dla alei, i fraszki ornamentacyjne holenderskie. «W Warwick-Castle, powiada Walpole, przechowuje się dywan z epoki wieków średnich, przedstawiający ogród wielce podobny niektórym freskom z Herculanum. Po za ogrodzeniem czworobocznem okratowanem, widzieć się dają szpalery ozdobione wazonami, wodotryskami i karyatydami — wytworna symetrya zastosowana do małej przestrzeni cechującej ogrody miejskie.» Prawdopodobnie Francya posiadała w końcu średnich wieków wzory ogrodów, jakie zawdzięczała René'mu Andegaweńskiemu, o tyle biegłemu artyście, o ile był nieudolnym wojownikiem i politykiem.

W okolicach Angers, około jednej groty przypominającej Izabelli, żonie dobrego króla René'go, stalaktytową *jaskinię Baumańską* (położoną w górach Hartzu), władca ten sam nakreślił i wyznaczył ogród na ziemi łupkowej, która zdawała się być skazaną na bezpłodność. Cierpliwość i twórczość wyobraźni odniosły tryumf nad naturą. W Andegawie (Anjou), gdzie dotąd wegetowały liche krzewy, po raz pierwszy rozkwitły róże prowensalskie i gwoździki. W pośród pięknych alei drzew rozpostarła się bogata zieleń kwater kwiatowych,

(1) Zbiornik do przechowywania wody spadającej z deszczem.

zasobna w osobliwe okazy ogrodnicze. René miejscu temu nadał nazwę *Baumette*.

Wszakże najulubieńszem jego miejscem pobytu była wiejska siedziba w Prowancyi, gdzie przyjmował podróżnych i cudzoziemców i spędził ostatnie lata swego życia.

Malownicza wielce ziemia dorzucała rozmaitość kształtów i perspektywy do wdzięku roślinności—doskonale zastosowana wystawa sprzyjała wzrostowi osobliwych drzew i nowych odmian kwiatów. W Aix (Aquae sextiae), dawnej stolicy Prowancyi, gorliwości króla René'go ogrody zawdzięczały swe istnienie, a południowe prowincye rozpowszechnienie uprawy morwy, zaaklimatyzowanie trzciny cukrowej, i ulepszenia w hodowli wina muszkatelowego. Rozporządzenie zarządu tegoż miasta odnoszące się do urządzania ogrodów, poprzedza jak się zdaje wytworne pomysły stylu odrodzenia, jaki się przejawił w ostatnich latach piętnastego wieku. Rozległe tarasy ułożone w postaci amfiteatru, łączyły się tu z pomieszkaniem. Najbogatsza kolekcya osobliwych kwiatów i rzadkich ptaków, ozdabiała długie galerye kryte lub otwarte. Przejrzyste strumienie przelewając się tu i owdzie, tworzyły w głębi tarasów rozległe sadzawki, w których igrały wszelakiego gatunku ryby żyjące w wodach słodkich.

Arabowie, których cywilizacya rzuca tak żywe blaski od ósmego do czternastego wieku, celowali w sztuce rozprowadzania wody w ogrodach, foremnych jak nowożytne, okazałych jak przyroda krain południowych.

Sadzawka w ogrodach Ziza w Palermo, otaczała pawilon ozdobiony mozajkami i sztukateryami, nad którym wznosiła się prześliczna kopuła. W pewnej od niego odległości mieścił się park około dwóch mil mający obwodu, którym zachwycano się jeszcze w szesnastym wieku. Sadzawka wyłożoną była kamieniami w kwadrat obrobionemi, a nad nią panował przepyszny budynek w stylu arabskim. Długi portyk tu i owdzie poprzerzynany małemi przezroczemi pawilonami, zajmował środek ogrodu—mury oznaczały granice jego obwodu.

Styl maurytański pozostawił swe ślady głównie w Hiszpanii — on to około 920 roku stworzył «Huerty» w Walencyi i Murcyi—poważne płaszczyzny poprzerzynane kanałami, do dziś dnia jeszcze istniejącemi. W Sewilli, Alkazar i Patio katedry przechowały swą cechę arabską. Widzieć tu można aleje wykładane cegłami na płask położonemi, tworzącemi przeróżne rysunki i zaopatrzonemi często w trzy otwory z wciśniętemi w nie pierścieniami metalowemi. Wszystkie te otwory tak drobne, że szpilka mogłaby je osłonić, są mikroskopowemi wodotryskami, które oblewają stopy przechodnia używającego przechadzki. Przedziwny to wynalazek, doskonale zastosowany do tego palącego klimatu. Pomysł ten dziś jeszcze oddaje usługi roślinności — woda napływa zewsząd, napastuje cię w pośrodku alei, występuje z krawędzi trawników, z pod każdego kamienia. Nie wiesz gdzie przed nią się schronić; w jednej chwili następuje wylew, powietrze zostaje odświeżonem, a stopy twoje w nim brodzą.

Od Alhambry do Grenady woda krąży wszędzie — tu wodotrysk, tam wodospad w pośrodku patiów, wlewają się do ogromnych zbiorników;—woda przepływa przez klomby drzew pomarańczowych, cyprysów, wiśni, akacyj i przez wielką aleę wysadzaną topolami, które otaczają również i pałac. Koryto jednej z odnóg złotodajnej rzeki Darro, zwróconem zostało przez Arabów na wzgórze Alhambry, odległe o dwie mile francuzkie od macierzystego strumienia. Każdy dom w Grenadzie posiadał patio z wodotryskiem otoczonym drzewami pomarańczowemi. W pałacu letnim Alhambry, zwanym *Generalif*, źródła, wodotryski i wodospady marmurowe przechowały do dziś dnia charakter maurytański, chociaż zepsuty smak architektoniczny szpecący budowle w ostatnim wieku, miejsc tych bynajmniej nie oszczędził.

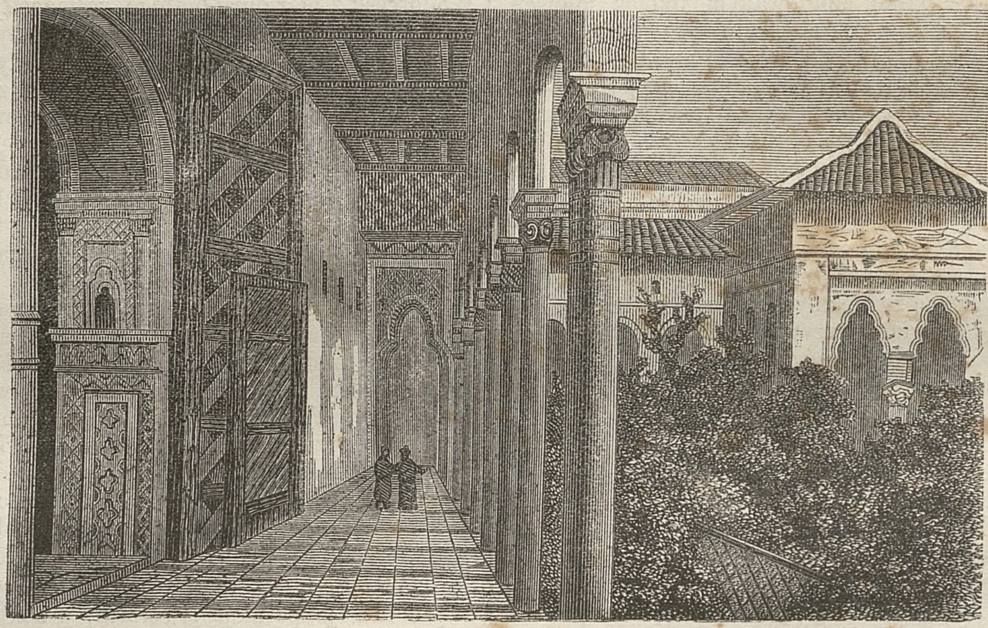


Fig. 10. Alhambra,—brama Abenceragów.

Kanał marmurowy zajmuje w Alhambrze całą długość ogrodzenia, i toczy fale wodne pod arkadami z gałęzi cisów pogiętych i powykrawanych dziwacznie. Drzewa pomarańczowe i cyprysowe z każdej tu sadzone są strony —jeden olbrzymiej wielkości cyprys, zwany *cyprysem sułtanki*, sięga czasów Boabdila. Perspektywę zamyka galerya i portyk z wodotryskiem o kolumnach marmurowych, jakie znachodzimy również w mirtowem patio Alhambry. Wpośród jednej sadzawki wyrasta olbrzy-

mi oleander z różowemi kwiaty nieporównanej piękności — niby kosz barwny, niby bukiet fajerwerku roślinnego. Strumienie spływają po stokach spadzistych i rowach ściekowych w tym celu wyżłobionych. W każdym przysionku wodotrysk rozlewający wodę krystalicznej czystości — w gęstych szpalerach wawrzynów fontanny dosięgają wysokości gałęzi krzyżujących się z sobą; ze wszech stron źródła zasilają ziemię wilgocią.

Dzięki robotom hydraulicznym Arabów, Grenada jest rajem Hiszpanii, i korzysta z wiekuistej wiosny, pomimo afrykańskiej temperatury.

(C. d. n.)

ROZPRAWY O MAŁŻEŃSTWIE I WYCHOWANIU,

w dziełach z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku.

przez Wł. Chomętowskiego.

(Dokończenie.)

Jeszcze też tego dołożę, aby dworzanin białogłowę, którą sobie upodoba, miał w wielkiej czci i powadze, o dobro jej aby się pilniej starał niż o swe własne, jako o tej, która już droższa u niego niż on sam u siebie być ma,—i niemniej niż piękność ciała, aby umysł jej cnotami ozdobiony miłował: strzegąc tego, aby w co nieprzystojnego nie zaszła, a wiodąc oną zawżdy bacznem upominaniem ku skromności, ku wstydu a uczciwości, iżby ni-oczem innem jedno o cnocie i przystojności myśleć, a jaśnie i bezpiecznie każdą rzecz czynić mogła. Siejąc tedy tak piękne ziarno, wznijdzie nadobne zboże obyczajów i postępków upodobanego człowieka, czego dworzanin używie z wielką swą uciechą»... i t. d.

Przytoczyliśmy tylko parę wydatniejszych ustępów z długiej rozprawy o miłości, mającej zapewnić szczęście w stosunkach małżeńskich. Pomienionemi uwagami kończy się Łukasza Górnickiego dzieło.

Według zasady Sebastyana Petrycego, rozwiniętej w jego Ekonomice, stosunek małżonków ma opierać się również na wzajemnem przywiązaniu i szacunku, ale autor ten dalekim jest od równouprawnienia niewiast. Broni on przedewszystkiem zasady, że żona winna posłuszeństwo mężowi, który ma być jej przewodnikiem, a zatem nie ma okazywać zbytniej powolności w słuchaniu jej rad lub żądań. Zaleca mężom aby obchodzili się z dobremi żonami łagodnie, z miłością, ale z upornemi radzi postępować surowo. Rozpisuje się Petrycy szeroko o stosunku małżonków, ale cała treść się zawiera w tem, że mąż powinien panować nad żoną. Drażliwą tę kwestyą podejmowano nader często w pismach obyczajowej treści. Nieprzyjaciel kobiet, autor «Złotego jarzma» pisze: «Jeżeli żonę uczynisz panią we wszystkiem, to już panie męża nie wdawaj się w żadną sprawę, ani w żadną rzecz domową. Przyjaciela w dom nie proś, w domu nie chodź bez jej woli, nie daruj nikomu nic bez jej wiadomości, nie chcesz-li o djable słyszeć albo co gorszego» i t. d.—Na tak gwałtowne stronnicze zarzuty w dziełku «Odpowiedź damy» czytamy: »Ponieważ się boisz co do gospodarstwa i domowego zarządu, aby cię w kleszcze żona nie ujęła i wszystko w moc swoją nie wzięła, żebyś musiał z jej ręki patrzeć i skakać po jej woli, tak z tobą o tem mówię: Alboś jest mądry albo prostak.—Jeśliś jest mądry, nie dasz tak żonie rządu w ręce ile zrazu żeby tobą rządzić miała. Niech ona wie co jej zlecisz i to bez kłótni, bez hałasów wielkich, żeś ty głowa i domu pan, powinieneś w nim rząd czynić. Jeśliś też prostak, to trzeba żeby przynajmniej żona roztropna była. Włoch mówi: *Basta un matto per casa* (dość na jednym błaźnie w domu); jeśliś tedy dureń, dobrzeć z tem że żona przynajmniej mądra i już tam władnie musi być: *haec vir et hic mulier*. Aleć i to nie ma co ganić, że żony usłuchasz i szczęśliwyś, który taką masz, że się na nią spuścić możesz. «Kończy się ta odpowiedź uwagą, że wielu mężów, który są zajęci publicznemi sprawami lub myśliwstwem i innemi zabawami z przyjaciołmi, składają na żony w zupełności starania około utrzymania majątków, za szczęśliwych więc poczytać się mogą, że we wszystkiem wyręczają ich panie i bez żadnych z ich strony zachodów zaopatrują śpiżarnie i piwnice.

Tak było w istocie, świadczą o tem nietylko pisarze owej epoki ale rozmaite dawne dokumenta i tranzakcye. Stanowisko niewiasty naszej w rodzinie i społeczeństwie nie było wcale poślednie, chociaż badacze nieobeznani dobrze z domowemi dziejami naszemi, wyprowadzający wnioski z pamfletów i innych pism stronniczych, podrzędną w przeszłości naznaczają jej rolę. Wychowanie wprawdzie niewiasty, przeważnie praktyczne, ograniczało zazwyczaj jej działalność w zakresie gospodarstwa domowego i zarządu majątkiem, nie była jednak nauka dla nich zakazanym owocem w XVI i w XVII wieku. Niektóre kobiety wyższemi uposażone zdolnościami, uczyły się z zamiłowaniem języka łacińskiego i literatury starożytnej. Wprawdzie zamiłowanie to było wyjątkowem, ale nie żadną nadzwyczajnością.

Autor «Złotego jarzma» kreśląc niepochlebne portrety swawolnych niewiast, przytacza jednę powieść po łacinie i dodaje, że nie chce aby niewiasty ją rozumiały. W odpowiedzi damy czytamy: To rozumiesz, że wy tylko mężczyzni umiecie po łacinie? Znalazłbyś białogłowy co by drugiego jeszcze douczyły, czego nie nauczył się w szkołach, i sama, nie chwaląc się, przypomniałabym jeśliś co zapomniał.

W drugiej części dzieła: «Odpowiedź damy na Złote jarzmo małżeńskie» znajdujemy charakterystyczne ustępy dotyczące stosunku kawalerów do panien, oraz mężów do żon. Autor mieniący się damą badał literaturę tego przedmiotu gruntownie, albowiem na potwierdzenie czynionych spostrzeżeń przytacza mnóstwo zdań i wierszy łacińskich, francuzkich, włoskich i hiszpańskich. Zaleca on kawalerom, aby w stosunkach z płcią piękną nie powodowali się samem uczuciem, i nie działali pod wpływem pierwszego wrażenia. Gani zarówno zbytnie wyrachowanie jako i zbytnią pohopność do ożenienia. Oto co pisze w tym przedmiocie: «Któż w tem winien że pan młody obaczywszy pod siatką twarzyczkę, zaraz zaślnie i ogłuchnie, ani wychowania, ani cnót panieńskich, ani więcej nic nie upatruje, ale tam zaraz jako wierzba się przyjmie, albo jak rzep suknie się chwyci, zwłaszcza owo przy pijanej ochocie, gdzie wino w głowie rozum miesza, oczy odmieni. Przy świecy zda mu się anioł, niewiedzieć jakie się w nim nie wzruszają niepomiarkowane afekty. Przysłowie hiszpańskie przestrzega: *La muger y la tela no tomar a la candela* (żony a pło-

tna przy świecy nie obieraj). Zakochany nieoględnie młodzian, pomimo wad najwybitniejszych, same tylko dostrzegać będzie zalety:

Nie baczy ten co kocha by największej wady,
Owszem lekce poważa i najlepsze rady;
Wszystko widzi w swej damie, a nikt nic,—tak zgoła
Miłość i nad lekarskie potężniejsza zioła.
Wszystkie wady cukruje ten, co go bąk zatnie
Miłości—i jak swego pędzi do swej matnie.

Do rzędu grzeszących lekkomyślnością, zalicza autor kawalerów nieskłonnych wprawdzie do zakochania, ale biegających ustawicznie za pannami lub wdowami: «Owi biegunowie, kędy murowany komin obaczą, zaraz wstępują, ocierają się o węgieł, kłaniając się ze zwyczajną oracyą, szastają, tu zaczną a nigdzie nie kończą. Dlatego nie przywodzą nic do skutku, że albo o wysokie progi się starają, albo w niestateczności swej nie mogą doprowadzić starania do końca».

Tak karcąc niestałych i lekkomyślnych, gani niemniej autor Odpowiedzi opieszałych kawalerów, pragnących dostać żonę, ale w ten sposób, aby sama do nich przyjechała: «Zda im się coś należytego szukać żony jak wyżeł przepiórki, nie kłaniać się, nie starać, ale chcą podobno aby o nich się starano»..... Dalej czytamy: «Toć to jedna prerogatywa nasza, co się przed ślubem nam nakłaniacie, po ślubie zaś my wam musimy podlegać. I siłaby to dwa grzyby w barszcz, gdybyśmy jeszcze same o was starać się miały, tem bardziej lekce ważylibyście nas sobie. Nader to tedy pyszny i rozumiejący o sobie siła musi być, który czeka żeby go proszono i żeby nie on się starał ale żeby o niego się starano.» O skąpcach rachujących się zbytnie podczas zalotów, tak odzywa się dama: «I tego nie minę, że między wami są tacy sordydaci i sknerowie, żeby drugi nie rad w staraniu grosza utracił, żeby to bez kosztu, nikomu nic nie dać, damie swojej nic nie kupić. A wzdyć to biedny parobek na wsi poczęstuje przecie dzieweczkę swoją, co się jej zaleca; do pierwszego tańca, żeby z nią wprzód iść, rzuci skrzypkowi grosz; a ty na podarunki, na muzykę nie chesz ważyć. Nie mówię żeby zbytki czynić nad kondycyę swoją, nie chcę tego żeby szumieć w staraniu a potem nędzę klepać. Owszem i to między insze naszego rozumu defekta liczyć, co drugi zastawi wieś na konkury, a potem do śmierci biedę cierpi, ale przystojnego według swojej możności i kondycyi kosztu czemuż masz żałować, ostatnieć też to nasze jak mówią szczęście, trzeba się ludziom pokazać. A nietylko kosztów nie żałować ale i trudów, choć też niezaraz z panną wyskoczą i nie za pierwszym zawodem dadzą. Tak chce mieć prawdziwe kochanie.» Na poparcie pomienionych uwag znajdujemy wiersze, zawierające opowiadanie o rozmowie kawalera z damą, której uskarżał się, jako w nagrodę długich starań, otrzymuje dotąd płonne tylko obietnice;—ona zaś na to:

Uśmiechnie się i rzecze: znać to że w miłości
Nowicyat odprawiasz, nie dziw że w przykrości.....
Z tego bierz sobie miarę (krosienka odkryje):
Bez sztychów tu igielnych wzoru nie wyszyje;
Różne wytrzymać stosy w miłości nie zdradza,
Bo kochać a statkować dobrze się nagradza;
Nie kochać dla frasunków, nie bić się dla rany,
I gach i żołnierz taki, wierz mi, podejrzany.

Pomiędzy wielu praktycznemi uwagami damy, napotykamy przestrogę dla kawalerów, aby w wyborze żony powodowali się przedewszystkiem rozsądkiem, t. j. aby żenili się odpowiednio do swego wieku, urodzenia, wychowania i majątku. Ostrzega, aby biedny i niemogący zapracować na utrzymanie rodziny, nie brał za żonę równie biednej, uposażonej tylko gładkiem licem. Ale karci surowo kawalerów poszukujących wyłącznie pieniędzy, którzy za nic ważą urodzenie, stosunki i wykształcenie panny. Konkurent taki skoro przekona się tylko że upatrzona niewiasta posiada dobrze napełnioną szkatułę, po otrzymaniu zezwolenia posyła marcepany, upominki i przygotowuje się do sutego wesela: «Drugi pojąłby on cudotwór, na który się w Holandyi jeden odważył, to jest pannę z świnią głową, a jako też tamtemu śpiącemu głowę ugryzła, tak tym panom co posag nie żonę pojmują, nieraz potem głowy nie ugryzieć cale, ale dobrze we dnie i w nocy gryzie. Narzekacie na żony że pozwalają sobie wszystkiego, a jeśli mąż co rzecze, wyrzucają mu: ze mnie powstałeś, jam cię panem uczyniła, nie gołotęś pojął. A toż to ztąd, że się na pieniądze łakomicie.» Doradza więc dama aby konkurenci zwracali baczną uwagę na wychowanie i wykształcenie panien, nadewszystko zaś na obyczaje samych rodziców, mając to na pamięci, że dobre drzewo wydaje zazwyczaj dobre owoce, oraz że córki idą najczęściej torem matek. Niebaczny na tę przestrogę sam sobie winę przypisze, skoro po ślubie przypomni mu się wiersz:

Dawna to jest przypowieść lecz nader prawdziwa:
W koniu wiosna, a w pannie ślub wady odkrywa.

Otóż doradza dama, aby nie pogardzano skromnemi dziewczętami, a nie ubiegano się za zbyt wymownemi i śmiałemi, które stosują się do mody tak zwanej dworskiej. «Kiedy panna skromna, nieświegotliwa, to według tych panów domatorka i mówić nie umie,—kiedy nie wścibska, nie zaraz ma się do młodzieńca, kiedy się nie upstrzy i nie ubryzuje (nie ustroi pstro), to niemodna, już taka nie ma szczęścia, wszyscy jej odstępują.» Tu czyni dama uwagę, że chociaż sama wychowywała się u dworu, nie znała tam wcale tej mody zwanej dworską. Dodaje następnie, że nie można przypisywać winy, że znając upodobanie mężczyzn starają się stosować do ich fantazyi w ubiorach, jakoteż w ułożeniu. Napotykamy dalej praktyczne spostrzeżenia nad niedobranemi małżeństwami. Nie radzi panom szukać żon w obcej im towarzyskiej sferze, uważając za konieczne dla zapewnienia harmonii w pożyciu, aby małżonkowie równe odebrali wychowanie, aby mąż nie wstydził się w towarzystwie za żonę, lub żona za męża. Najgorsze—pisze dama,—wypływają skutki, gdy szlachcic mający mierną fortunę, bierze za żonę pannę z wysokiego rodu. «Trzeba się wtedy ciągnąć, choćbyś miał zerwać i ostatnią wieś zastawić, inaczej i u żony i u krewnych w lekkiem będziesz poważaniu».

Gani dama w «Odpowiedzi» niedobrane pod względem wieku małżeństwa, zatem przestrzega męża jak ma postępować z młodą żoną. Powinien dobierać jej odpowiednie, przyzwoite towarzystwo, nie pieścić zbytnie ani przyuczać do zbytków, lecz zaszczepiać zamiłowanie do życia domowego i czynnego. Mąż słowem powinien mistrzować roztropnie żonie: nie psuć jej niewczesnemi czułościami ani zbytnią surowością, nie być zazdrosnym ani też obojętnym lub niewiernym, jeżeli pragnie ażeby żona dochowywała mu wiary.

W określeniu stosunku mężów do żon, zbija dama liczne zarzuty, czynione niewiastom przez autora Złotego jarzma małżeńskiego.

Narzekano między innemi na zbytki w strojach niewiast, na ich ślepe hołdowanie modzie, ale w tem naśladowały tylko damy mężów, gdyż według owoczesnych świadectw chęć błyszczenia okazałością szat, powozów, orszaku, dworu, była słabością powszechną. Biedniejsi chcieli się równać z możniejszemi: wszyscy pragnęli być równemi, wszyscy mościwemi pany,—jednakowo żyć, jeździć i gwardye trzymać. Wspomniany przez nas wyżej autor Falibogowski pisze: Znać było niegdyś senatora, szlachcica, mieszczanina, obecnie zaś wszystkie stany

pomięszane, jeden nad drugiego się wynosi... Siłaby się na to przykładów dać mogło, jako zbytnie gwardye w Polsce trzymają, na co potrzebno, dla Boga? jeno dla swawoli a skwierku ludzkiego. Nawet hajduk kiedy na się sukienkę ze srebrnemi knaflami wdzieje, już go do roli albo do cep nie przybijesz, woli na Bieszczad ([1]), a tem hajductwem dziwna rzecz jako sobie majętności popustoszyli, że nie baczą jaki skwierz na to łotrowstwo. Acz ja kozaka nie ganię, ale zaporoskiego, którzy temi czasy dobrze i mężnie ojczyźnie służyli, ale nasi burkowni kozacy nie biją Tatarzyna, jedno kury a gęsi.»

Słusznie pomieniony autor widzi źródło wielu wad i występków w złem wychowaniu. Narzeka między innemi na częste najazdy, uprowadzania dziewic z domu rodziców i tym podobne bezprawia. W istocie, pomimo strzeżonej czystości obyczajów na dworze Zygmunta III, pomimo przykładu cnót pielęgnowanych w bardzo wielu rodzinach, jak w XVI wieku, w czasie krzewienia się reformacyi, tak i w następnej epoce, na początku XVII wieku, zdarzały się dość częste wypadki najazdów i gwałtownego uprowadzenia niewiast. ([2])

Jednocześnie około 1612 r. dwie nader głośne romansowej treści sprawy zapisano w naszych rocznikach:

Do szeregu możniejszych rodzin w drugiej połowie XVI wieku zaliczał się dom Koniecpolskich. Stanisław podkomorzy sieradzki, ożeniony z wdową po Drohiczyńskim z domu Osmulską, miał dwóch synów: Samuela i Aleksandra. Ten ostatni wychowywał się w Niemczech i przebywał czas pewien na dworze księcia bawarskiego. Po powrocie do kraju zaręczył się z Zofią Dębińską podkomorzanką mielnicką, poczem wkrótce matka panny umarła. Narzeczony za zezwoleniem jej ojca odwiózł Zofią do klasztoru, gdzie w towarzystwie siostry Doroty miała pozostawać aż do czasu zamążpójścia. Na nieszczęście dla narzeczonego panna tak rozmiłowała się w życiu klasztornem, że oświadczyła chęć włożenia habitu zakonnego miasto ślubnej sukni. Dowiedziawszy się o tem Aleks. Koniecpolski zgłosił się do klasztoru św. Agnieszki w Krakowie o wydanie mu narzeczonej. Przerażone zakonnice chciały wyprawić Zofię, ale oparła się stanowczo, utrzymując, że ślubowała poświęcić się na służbę Bogu. Kiedy wszelkie namowy i pogróżki okazały się płonne, najechał Aleks. Koniecpolski klasztór, otoczył zbrojnym ludem i wysadził drzwi petardami. Ukryły się panny Dębińskie w jednej z cel zakonnych, ale odszukał kawaler narzeczoną swą i jej siostrę, wyprowadził opierające się gwałtem i odwiózł do zamku w Koniecpolu. Tu wziął ślub z Zofią, atoli d. 4 maja 1612 r. Piotr Tylicki, biskup krakowski, wyklął go publicznie w kościele Wszystkich Świętych. Młodzi małżonkowie przenieśli się po ślubie do Wielunia, gdzie pani powiła syna Jana. Znajdujący się podówczas w Wieluniu konfederaci, powracający z Moskwy, wpadli z dobytemi szablami do zamku. Zofia przelękła się ich widokiem i umarła. Koniecpolski ożenił się powtórnie z siostrą jej Dorotą i miał z nią dwóch synów i dwie córki, ale nie wiodło się potomstwu. Synowie ci zginęli w wojnie z kozakami, obie córki zmarły bezpotomnie. Autor rodowodu Koniecpolskich pisze: «Niebłogosławieństwo boże z takiego małżeństwa, Jan najstarszy syn od Zofii także pobłądził, ladajako, żal się Boże, ożenił się po dwa razy». Aleksander Koniecpolski za popełnione bezprawie podległ wyrokowi infamii na mocy uchwały sejmowej. W skutku też pomienionego gwałtu, na sejmie 1616 r. zapadła konstytucya «o bezpieczeństwie klasztorów panieńskich;»—gdzie powiedziano, że z powodu częstych wypadków swawoli, jakoto uprowadzania gwałtem panien zakonnych oraz inszych dziewcząt oddanych na wychowanie i ćwiczenie do klasztorów, postanawia się, że nie wolno nikomu przestępować progów zakonnych bez dozwolenia przełożonej, w razie zaś dopuszczenia się gwałtu, winny ma być pozwany przez instygatora królewskiego i karany wyrokiem sejmu. Aleksander Koniecpolski odsądzony od czci i przywilejów, otrzymał ułaskawienie dopiero na sejmie 1625 r, w skutku prośby senatorów i posłów i za przebłaganiem rodziny Dębińskich, uważanej za stronę pokrzywdzoną.

Drugą niemniej głośną wytoczono sprawę Janowi Silnickiemu z Potoka, o porwanie córek Anny Trachin, szlachcianki, z własnego jej domu na Szlązku. Silnicki wybrał się jak na wojenną wyprawę, w licznym orszaku zbrojnych sług; przybywszy do miasteczka, w którem przemieszkiwała Anna Trachin z córkami, porozstawiał straże u bram, następnie otoczył dom, uprowadził opierające się i broniące mężnie panny i uwiózł do Potoka. Poseł cesarza Macieja Walenty Kauloniusz, kanonik głogowski, zaniósł skargę na sejmie w Warszawie 1613 r. Opisawszy szczegóły pomienionego najazdu, domagał się poseł surowego ukarania winowajcy. Powoływał się na znaną sprawiedliwość Zygmunta III i przypominał, nie wymieniając znanego w kraju nazwiska, jako niedawno jeden z panów, za uprowadzenie wdowy szlachcianki z pod Krakowa, ukarany został śmiercią. Posiadając tylko akt oskarżenia, nie wiemy jaki zapadł wyrok w tej sprawie, nie powątpiewamy jednak, że winowajcę pociągnięto do odpowiedzialności, chociaż sądząc z przytoczonych w oskarżeniu okoliczności domyślamy się, że jakaś romansowa intryga przyczyniła się do wywołania tego skandalicznego wypadku. ([1])

Zwróciliśmy uwagę na nadużycia, które są jedną z cech charakterystycznych dawnego, kipiącego nadmiarem życia społeczeństwa, nie sądzimy jednak, aby ta cecha była ogólną miarą naszych stosunków domowych. Zarówno w skromnych szlacheckich jako i w magnackich dworach potępiano podobne niecne swawole. W umysłach i sercach ogółu tkwiło zaszczepione mocno poszanowanie rodzinnego ogniska i cnót rodzinnych. To też z dumą wyznać możemy, że w wiekach krwawych walk religijnych i społecznych, żaden ze znakomitych wodzów naszych nie splamił zdobytego wieńca chwały na polu bitwy chciwością łupów, uciskiem, okrucieństwami. Chodkiewicz, Żółkiewski, Czarniecki, Sobieski, słowem wszyscy głośnego imienia wojownicy nasi odznaczali się wielką ludzkością i bogobojnością. Ale niepodobna poznać źródła moralnego bogactwa tych rycerskich postaci, nie zatrzymawszy się u domowego ogniska. Otóż najdzielniejsi mężowie, którzy byli chlubą kraju w radzie i na wojnie, wychowywali się pod czujnem okiem surowego obyczaju niewiast, takich, jak Regina z Herburtów Żółkiewska i Teofila z Danielowiczów Sobieska. Nie pieściły zacne matrony swych jedynaków; kiedy zaś po śmierci mężów sterowały z męzką energią całem wychowaniem synów, wstrzymywały się nawet od okazywania macierzyńskiej miłości, w głębokiem przeświadczeniu o zgubnym wpływie pieszczot na młodociane umysły. Stosunek ten matek do dzieci, jakkolwiek może dziś wydać się zbyt surowy, przedstawi się inaczej, skoro weźmiemy na uwagę, w jakich warunkach i w jakiem oto-

([1]) Góry bieszczadzkie, zwane także Beskidami, stykające się z Karpatami, gdzie ukrywali się niegdyś rozbójnicy.

([2]) W epoce reformacyi, za panowania króla Zygmunta Augusta, powtarzały się nader często wypadki uprowadzania nietylko panien ale i zamężnych niewiast. Autor dyaryusza burzliwego sejmu 1565 r. pisze o bardzo wielu wytoczonych tego rodzaju sprawach, na tymże sejmie.

([1]) Dokumenta do tej sprawy w rzadkiej broszurze: Valentini Caulonii Oratio etc. Cracoviae 1615. In officina Lobii 4-o.

czeniu obracali się nasi przodkowie. Przytoczone wyżej przykłady wielkiej niesforności i swawoli ostrzegały słusznie, że jedynie tylko w karnem wychowaniu mogła się znaleźć rękojmia rozwinięcia moralnego umysłu synów, oraz należytego przygotowania ich do godnego pełnienia obywatelskich i rycerskich posług. Takiemi zasadami kierowała się między innemi jedna z zacnych matron naszych XVI wieku, pani Sieniawska z domu Tarłówna, żona Hieronima wojewody ruskiego, skoro po śmierci męża sterowała wychowaniem syna Adama, późniejszego podczaszego koronnego. Przytaczamy testament jej, a raczej ostatnie zlecenia dane synowi, jako najwymowniejszy dokument, świadczący o moralnem usposobieniu naszych matron i ich stosunku do synów.

«Adamie, synu mój miły, jedyny, widzę że już wola Boża i poseł Jego straszliwy następuje, włodowanie (zarząd) i szafarstwo położyć i liczbę uczynić rozkazuje. Straszliwy przed tym Panem rachunek mój będzie, gdyż wiem że mu na liczbę wiele wstanę, wszakże w miłosierdziu i tak wielkiej dobrotliwości Jego nie wątpię, że tak ciężki dług odpuścić mi będzie raczył. Przy tym tedy rachunku, to wiem mój drogi synu, żeś nigdy oczywiście nie znał miłości mej macierzyńskiej, którąm zawżdy skryto pod swem sercem chowała i taiła, com ni dla czego inszego nie czyniła, jedno abyć miłość moja, w której się podczas rodzicy miarkować nie umieją, jako młodemu, pohopu do wysokiej myśli nie podała; wszakże o to się zawsze starałam, w czemem cię wielekroć słowy surowemi ale sercem i miłością macierzyńską napominała.

«Teraz już podobno ostatnie napominanie, jako od matki i rodzicielki swej na skończeniu wieku mego masz. Proszę cię i napominam naprzód, abyś się pana Boga bał, drogami Jego chodził, na przykazanie pamiętał i ono chował, bo o tem wiedz pewnie, że Bóg wszelkiej nieprawości do czwartego pokolenia mścić się obiecuje. Acz ja mam pewną nadzieję w Bogu Zbawicielu moim, pod którego opiekę i obronę świętą ciebie zlecam i oddaję, aby to było naprzód ku chwale Jego świętej, z dobrem twojem i pociechą powinnych a z dobrą sławą domu twego zacnego. A iżeś zawsze powolnością i posłuszeństwem serce moje cieszył, niechajże za to pan Bóg błogosławi i wszelakiemi pociechami, któreby się z wolą bożą znosiły, niech ci płaci i nagradza.

«Widząc to i upatrując już z woli Bożej do czego mi zagradza, że pociech twych a mnie pożądanych doczekać i na nie patrzeć nie mogę,—cóż czynić? próżno woli Bożej sprzeciwiać się mamy. Jednakże cię mój drogi synu proszę, kiedy pan Bóg twe serce do stanu małżeńskiego skłaniać będzie raczył, bo tego koniecznie potrzeba będzie, co Bóg rozkazuje dla uwiarowania (uchronienia) od grzechu, aby człek w zakonie pańskim żył i mieszkał, który sam Zbawiciel ubłogosławił i zacnie w onej Kanie galilejskiej uczcił i tem go zalecił. Upatrujże sobie przyjaciela takiego, któryby był z wolą Bożą, z którymbyś sercem jednem, jedną wolą i umysłem pana Boga chwaląc, spólnych pociech w błogosławieństwie pańskiem zażywał. Zatem w czem cię dalej przestrzedz i upomnieć wolę mam, abyś o tem wiedział i takie staranie miał, jakobyś dom twój z tem wszystkiem, co z woli Bożej a z miłych rodziców twych masz i mieć możesz, rządzić i szafować umiał. Tylko cię w tem napominam, abyś tego z bojaźnią Bożą zażywał, na to pamiętając, że to są rzeczy jakoby od szczęścia nabyte, wszakże mają po sobie takie błogosławieństwo, zwłaszcza kiedy kto w nich nadzieje swej nie pogrąża. Żyj ojcowskim trybem, który na swem przestawał, cudzego nie pragnął, nikomu nie zajrzał. I ty tak żyjąc i na tem przestając, będzieć Bóg błogosławił, a to pewnie wiedzieć możesz, że łakomstwo zbytnie jako samego tak potomstwa nie bogaci, owszem to wszystko w marny szafunek i brzydki rząd obracać się zwykło. Płaczu, przeklęctwa, abyś na się nie brał, dla Boga cię proszę i przestrzegam, bo krzywda wszelaka a łez wylewanie niebiosa przebija. Między inszemi prośbami, a ostatnia wola moja aby była wykonana we wszystkiem, o to cię proszę, sługom od największego do małego oddaj co wola moja naznaczyła i dać rozkazała, abyś temu wszystkiemu dosyć uczynił. Także sługom starym, którzy na posługach domu twego i rodziców twoich lata swe strawili, pogrzybieli, proszę cię krzywdy im nie czyń, owszem szanuj, w uczciwości miej, którzy będą stróżami młodości twej. Są też jeszcze słudzy, wprawdzie poddani twoi, które jam groszem swym dla posług twych wyćwiczyć rozkazała, i tym przezprawia nie czyń,—chcąc służyć, płać jako sługom nie jako poddanym; nie chcą, odpraw według woli mojej. Na poddane, którzy wszystko dobro twoje na swych ramionach trzymają, łaskawie się obchodź, przezprawia im nie czyń, podatków niezwykłych, jedno jako zdawna za rodziców twych powinność ich bywała, wyższej nie wyciągaj. Nadania kościelne,—wiem, takiego sumienia nie będziesz, abyś miał ujmować jeśli nie przyczynisz, owszem bardzo cię proszę, aby kapłani i słudzy kościelni swój wczas na wszystkiem mając, chwałę Bożą oddawali w pokoju. Na sieroty, na ubóstwo, na niedołężne, upadłe, miej miłosierdzie, za co wszystko niechajżeć Pan Bóg na tym świecie błogosławieństwa swojego świętego użycza i chwały wiecznej nie oddala.» (¹)

Sądzimy, że przytoczony dokument jest najwymowniejszem świadectwem wysokiego moralnego nastroju dawnych, zacnych matron. Rozumna, kochająca matka, wyznaje synowi na łożu śmierci, że taiła ukrytą głęboko w sercu miłość, z obawy aby nie roznieciła pychy w jego umyśle. Maluje się nadto w serdecznych ostatnich jej zleceniach patryarchalny stosunek naszych pań do domowników i poddanych. Zalecając, aby miał w poszanowaniu sług starych, przypomina że ci doświadczeni przyjaciele domu będą stróżami jego lat młodzieńczych. Nie zapomina też o poddanych «którzy całe dobro pańskie na swych ramionach trzymają» i poleca ich łasce i troskliwości syna,—w końcu zaklina go pod błogosławieństwem, aby był miłosierny na sieroty i ubogich. Streszcza się słowem w ostatnich zleceniach matki cała nauka chrześciańska, szczepiona od lat dziecięcych w sercu syna. Owiani takim duchem młodzieńcy, w surowej lecz bogobojnej kształceni szkole, wyrabiali się na bohaterów o silnem ramieniu i silnej woli, z których nie jeden mógł śmiało powtórzyć za Czarnieckim te słowa: *Ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mię boli, urosłem.*

(¹) Testament ten a raczej wyjątek z testamentu drukowany w dziele Falibogowskiego «Dyskurs marnotrawstwa.»

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski**.

Дозволено Цензурою, 10 (22) Января 1876 года.